



Otoczyć miłością

Odpowiedź Maryi, Matce Zbawiciela cz.1

Mówimy w imieniu odrzuconych, zabitych i nienarodzonych. Jest to apel o miłość, wołanie o odrobinę ciepła i czułości wobec tych, którzy nigdy nie mieli szans przyjść na świat, nie mieli szans dorosnąć, nie mieli szans nauczyć się mówić, chodzić i nigdy nie przytulili się do matki i ojca.

Nasz apel to wezwanie sumień, to pukanie do serca do każdego człowieka bez względu na jego wiek, płeć, zawód. Odpowiedz! Potrzebujemy każde serce do otoczenia miłością maleństwa, którego życie jest zagrożone. Nasz apel to odpowiedź na Jasnogórskie Śluby Narodu Polskiego złożone w czasie uwięzienia Prymasa Tysiąclecia 26 sierpnia 1956 roku w Częstochowie:

Wielka Boga-Człowieka Matko!

Bogurodzico Dziewico, Bogiem sławiona Maryjo!

Królowo świata i Polski Królowo! [...]

Święta Boża Rodzicielko i Matko Dobrej Rady! Przymierzamy Ci z oczyma utkwionymi w Żłobek Betlejemski, że odtąd wszyscy staniemy na straży budzącego się życia. Walczyć będziemy w obronie każdego dziecięcia i każdej kołyski, równie mężnie jak ojcowie nasi walczyli o byt i wolność Narodu, płacąc krwią własną.

Gotowi jesteśmy raczej śmierć ponieść, aniżeli śmierć zadać bezbronnym.

Dar życia uważać będziemy za największą łaskę Ojca Wszelkiego Życia i za najcenniejszy Skarb Narodu...

Nasz apel to również odpowiedź na głos nieżyjącej już położnej z obozu koncentracyjnego Oświęcim–Brzezinka, sługi bożej Stanisławy Leszczyńskiej, która w swych obozowych wspomnieniach dała wyraz szacunku i miłości do życia nienarodzonych dzieci:



Jeżeli w mej ojczyźnie, mimo smutnego z czasów wojny doświadczenia, miałyby dojrzeć tendencje skierowane przeciw życiu, to wierzę w głos wszystkich położnych, wszystkich uczciwych matek i ojców, wszystkich uczciwych obywateli w obronie życia i praw dziecka. Stanisława Leszczyńska.

Zbieramy serca, przyjaznych osób, które włączą się w modlitwę w intencji odrzuconych i nienarodzonych dzieci. Serca te zostaną złożone jako dar dla Matki Zbawiciela w 100-lecie obecności obrazu w Śródmiejskim Sanktuarium Matki Zbawiciela i jego 10. rocznicę koronacji jako odpowiedź na śluby jasnogórskie z 1956 roku.



Nasz apel to także reakcja na przerażający raport statystyczny wskazujący na o ogromną liczbę wykonywanych rocznie 60 mln aborcji. Jest to odpowiedź na płacz niebios oraz krzyk dusz mordowanych dzieci w łonach matek. Jest to odpowiedź na wezwanie Matki Zbawiciela.

Żaden obraz namalowany ludzką dłonią nie jest tak wymowny, jak opisywane przez sługę bożą Stanisławę Leszczyńską porody, które odebrała pracując w skrajnie trudnych i niebezpiecznych warunkach obozu koncentracyjnego. Wierzmy głęboko, że poniższy tekst zachęci każde serce do przyłączenia się do modlitwy w intencji zagrożonych i będą wspólną

odpowiedzią Matce Bożej na Jej ból i gorzkie łzy wypływające z cierpienia zabijanych Stworzeń Bożych w łonach matek.

Raport położnej z Oświęcimia .cz.1 (materiały z książki St. Leszczyńskiej pt” Nie, nigdy! Nie wolno zabijać dzieci!.”)

„W ciągu 35 lat pracy jako położna - dwa spędziłam jako położna-więzień w kobiecym obozie koncentracyjnym Oświęcim –Brzezinka. Wśród licznych transportów kobiet, które przybywały do tego obozu, nie brak było kobiet ciężarnych. Funkcje położnej pełniłam tam kolejno na trzech blokach, nie różniących się ani budową ani wewnętrznym urządzeniem, poza jednym szczegółem, że jeden z nich posiadał ułożoną z cegieł posadzkę, której brak było w pozostałych. Były to zbudowane z desek baraki o długości około 40 metrów, z licznymi wygryzionymi przez szczury szczelinami.

Ten obóz był niski i gliniasty, toteż podczas większych deszczów spływająca do wnętrza baraków woda sięgała na kilkanaście centymetrów, w innych barakach położonych niżej nawet na kilkadziesiąt. Wewnątrz baraku, po obu stronach, wznosiły się trzypiętrowe koje. W każdej z nich na brudnych, ze śladami zaschniętej krwi i kału sienniku, zmieścić się musiały trzy lub cztery kobiety. Było więc ciasno, chore musiały opuszczać nogi poza koje albo trzymać kolana pod brodą. Było także twarde, bowiem starta na proch słoma dawno uleciała kurzem, a chore kobiety leżały na gołych niemal deskach, w dodatku na gładkich, bo pochodzących z części drzwi lub okiennic pościąganych ze starych budowli z filongami

odgniatającymi ciało i kości. Pośrodku wzdłuż baraku ciągnął się piec w kształcie kanału zbudowany z cegieł z paleniskami na krańcach. Służył on jako jedyne miejsce dla odbywania porodów, bowiem innego choćby zaimprovizowanego urządzenia na ten cel nie przeznaczono. Palono w nim zaledwie kilka razy do roku. Dlatego też szczególnie w okresie zimowym dało się odczuć dotkliwie, przejmujące zimno czego widoczną oznaką były zwisające z sufitu a raczej z dachu, długie sople lodu.

Trzydzieści koi wydzielonych najbliżej pieca stanowiło tzw. sztabę położniczą. Na bloku panowała ogólnie: infekcja i smród i wszelkiego rodzaju robactwo. Roilo się od szczurów, które odgryzały nosy, uszy palce i pięty opadłym z sił i nie mogącym się poruszać ciężko chorym kobietom. W miarę możliwości odpędzałam je od chorych na zmianę z kobietą dyżurująca w nocy, tzw. *nachtwachą*. Czyniły to również chore rekonwalescentki, dzieląc się między sobą godzinami snu. Szczury wypasione na trupach wyrosły jak potężne koty. Nie bały się ludzi a odpędzane kijami często chowały tylko łby, wbijając pazury w koje i szykując się do nowego ataku; lgnęły one do cuchnącego zapachu ciężko chorych kobiet, których nie było czym umyć i dla których nie było świeżej odzieży. O wodę niezbędną do obmycia rodzącej matki i noworodka musiałam starać się sam, przy czym przyniesienie jednego wiadra wody pochłaniało około 20 minut. Robactwo wszelkiego rodzaju

i w niezliczonej ilości, wykorzystywało swoją biologiczną przewagę nad gasnącą żywotnością człowieka. Ofiarami stałej ofensywy robactwa i szczurów stawały się nie tylko chore kobiety, ale i nowonarodzone dzieci. Organizmy wyczerpane głodem i zimnem, udreżone torturami i choroba marły szybko. Ogólna liczba chorych na bloku wynosiła od 1000 do 1200 osób. Z tej liczby umierało codziennie kilkanaście. Ciała wynoszone przed blok były codziennym raportem przeżytej tragedii. W tych warunkach dola położnic była oplakana, a rola położnej niezwykle trudna; żadnych środków aseptycznych, żadnych materiałów opatrunkowych i żadnych leków (całkowity przydział dla bloku wynosił zaledwie kilka aspiryn dziennie). Początkowo zdana byłam wyłącznie na własne siły, w przypadkach powikłanych, wymagających interwencji lekarza specjalisty, jak np. ręcznego odklejenia łożyska, musiałam sobie sama dawać radę. Niemieccy lekarze obozowi Rohde, Koenig i Mengele nie mogli przecież „zbrukać” swego powołania lekarskiego niesieniem pomocy nie-Niemcom, toteż wzywać ich pomocy nie miałam prawa. W późniejszym



okresie korzystałam kilkakrotnie z pomocy pracującej na innym oddziale, oddanej dla chorych polskiej lekarki dr Janiny Węgierskiej, a jeszcze później również bardzo zacnej polskiej lekarki Ireny Koniecznej.

W czasie gdy sama chorowałam na tyfus plamisty wielką pomoc okazała mi niezwykle uczynna dr Irena Białówna, troskliwie opiekując się mną i moimi chorymi. O pracy lekarzy w Oświęcimiu nie wspominam, bo to co obserwowałam, przekracza moje możliwości wypowiedzenia się na temat wielkości lekarskiego powołania i bohatersko spełnionego obowiązku. Wielkość lekarzy, ich poświęcenie zastygły w źrenicach tych, którzy udręczeni niewolą i cierpieniem nigdy nie przemówią. Lekarz walczył o życie stracone i za stracone życie poświęcał życie własne. Miał do dyspozycji przydział kilku aspiryn i wielkie serce. Tam lekarz pracował nie dla sławy, pochlebstwa czy zaspokojenia ambicji – wszystkie te momenty odpadły. Pozostał tylko lekarski obowiązek ratowania życia w każdym przypadku i w każdej sytuacji pomnożony przez współczucie dla człowieka. Głównym schorzeniem dziesiątkującym kobiety była czerwonka. Często rozwolnione stolce chorych ściekały na koje ustawione niżej. Spośród innych ciężkich chorób panował tyfus, czyli dur brzuszny i plamisty złośliwa pęcherzyca. Pojawienie się na ciele chorej kilku ropnych pęcherzy w przybliżeniu wielkości talerza powodowało śmierć. Przypadki duru brzusznego były w miarę możliwości ukrywane przed Lagerarzem (SS-mański lekarzem obozowym) zwykle w ten sposób, że na karcie chorobowej pisało się „grypa”, ponieważ

6

chore na dur brzuszny były natychmiast tracone w krematorium. W zasadzie nikomu nie udało się uniknąć tej choroby; masa wszy była tak olbrzymia, że zarażenie tufusem plamistym stało się zjawiskiem nieuniknionym dla każdego.

Główne pożywienie chorych stanowiło zgniłe rozgotowane zielsko, zawierające bez przesady 20% szcurzego kału. W opisanych warunkach pracowałam przez dwa lata dzień i noc bez zastępstwa. W pracy mej pomocą mi była niekiedy moja córka Sylwia, lecz ciężkie choroby, które jej nie ominęły, czyniły ją do tego przeważnie niezdolną.

Chore - jak wspomniałam- rodziły na piecu. Ilość przeprowadzonych tam porodów przeze mnie wynosiła ponad 3000. Pomimo przerażającej masy brudu, robactwa wszelkiego rodzaju, szcurków i chorób zakaźnych, braku wody oraz innych, nie dających się wprost opisać okropności, działo się tam coś niezwykłego.

Pewnego razu Lagerarzt kazał mi złożyć sprawozdanie na temat zakażeń połogowych i śmiertelności wśród matek i noworodków. Odpowiedziałam wtedy, że nie miałam ani jednego przypadku śmiertelnego zarówno wśród matek i noworodków. Lagerarzt spojrział na mnie z niedowierzaniem. Powiedział, że nawet najdoskonalej prowadzone kliniki uniwersytetów niemieckich nie mogą się poszczycić takim powodzeniem. W oczach jego czytałam gniew i zawiść. Możliwe, że ogromnie wyniszczone organizmy były zbyt jałową pożywką dla bakterii. Spodziewająca się rozwiązania kobieta zmuszona była odmawiać sobie przez dłuższy czas przydzielonej racji chleba, za który mogłaby –jak powszechnie mówiono- zorganizować sobie prześcieradło. Prześcieradło darła na strzępy, przygotowując pieluszki i koszulki dla dziecka, żadnej bowiem wyprawki dzieci nie otrzymały.

Na oddziale brak było wody, toteż pranie pieluszek nastęrczało wiele trudności, zwłaszcza wobec surowego zakazu opuszczenia bloku, jak i niemożności swobodnego poruszania się w nim. Wyprane pieluszki położnice suszyły na własnych plecach lub udach, rozwieszanie ich bowiem na widocznych miejscach było zabronione i mogło być karane śmiercią. Dla normalnych dzieci nie było żadnych przydziałów żywności, żadnej kropli mleka.

Wysuszone głodem piersi drażniły tylko ich wargi wyzwalając daremny odruch ssania i potęgując głód. Do maja 1943 roku wszystkie dzieci urodzone w obozie oświęcimskim były w okrutny sposób mordowane: topiono je w beczułce. Czynności tych dokonywały: Schwester Klara i Schwester Pfani.

Pierwsza była z zawodu położną i dostała się do obozu za dzieciobójstwo. W związku z objęciem funkcji położnej przeze mnie, zabroniono jej odbierania porodów, albowiem jako „Beurfsverbrecherin” (zawodowy przestępca) była pozbawiona prawa wykonywania swego zawodu. Zlecono jej czynności do których się bardziej nadawała. Powierzono jej także kierowniczą funkcję tzw. blokowej. Do pomocy przydzielono jej niemiecką ulicznicę- rudą piegowatą Schwester Pfani.

Po każdym porodzie z pokoju tych kobiet dochodził do uszu położnic głośny bulgot i długo się niekiedy utrzymujący plusk wody. Wkrótce po tym (matka) mogła ujrzeć ciało swojego dziecka rzucone przed blok i szarpane przez szczury.

W maju 1943 roku sytuacja niektórych dzieci uległa zmianie. Dzieci niebieskookie i jasnowłose odbierano matkom i wysyłano do Nakła w celu wynarodowienia. Przejmujący skowyt matek żegnał odjeżdżające transporty niemowląt.

Póki maleństwo przebywało przy matce, to już samo macierzyństwo stwarzało promień nadziei. Rozłąka z dzieckiem była straszna. Z myślą o możliwościach odzyskania tych dzieci w przyszłości,

O przywróceniu ich matkom, zorganizowałam sposób oznaczania niemowląt tatuażem, który nie zwracał uwagi SS-manów. Niejedną matkę pocieszała myśl, że odnajdzie kiedyś swoje utracone szczęście. Dzieci żydowskie były nadal topione z bezwzględną surowością. Nie było mowy o ukryciu dziecka żydowskiego lub zmieszania go z dziećmi nieżydowskimi,

7
Schwester Klara i Schwester Pfani na przemian bacznie śledziły Żydówki w czasie porodu. Urodzone dziecko tatuowano numerem matki, topiono w beczulce i wyrzucono przed blok. Los pozostałych dzieci był najgorszy: marły one powolną śmiercią głodową. Skóra ich stawała się cienka, pergaminowata, przeświecały przez nią ścięgna, naczynia krwionośne i kości. Najdłużej przy życiu utrzymywały się dzieci radzieckie, ilość kobiet ze Związku Radzieckiego (nazwa stara pisano tekst po wojnie) wynosiła około 50%. Spośród bardzo wielu przeżytych tam tragedii szczególnie żywo zapamiętałam historię pewnej kobiety z Wilna, skazanej na Oświęcim za udzielenie pomocy partyzantom. Bezpośrednio po urodzeniu przez nią dziecka wywołano jej numer (numerem bowiem przywoływano więźnia). Posłałam ją wytłumaczyć lecz to nic nie pomogło, spotęgowało tylko gniew. Zorientowałam się, że wzywają ją do krematorium. Owinęła dziecko w brudny papier i przycisnęła do piersi..... Usta jej poruszały się bezgłośnie, widocznie chciała zaśpiewać maleństwu piosenkę, jak to nieraz czyniły tam matki, nucąc swym maleństwom przeróżne kołysanki, którymi pragnęły im wynagradzać za dręczące je zimno i głód, za ich niedolę. Nie miała sił..... nie mogła wydobyć głosu... tylko duże obfite łzy wylewały się spod powiek, spływały po jej niezwykle bladych policzkach, padając na główkę małego skazańca. Co było bardziej tragiczne, czy ta jednoczesna śmierć dwóch najbliższych sobie istot, czy też przeżywanie śmierci niemowlęcia, które ginęło na oczach matki, połączona ze świadomością pozostawienia na łasce losu jej żywego dziecka - na to trudno odpowiedzieć. Wśród tych koszmarnych wspomnień snuje się w mej świadomości jedna myśl, jeden motyw przewodni. Wszystkie dzieci urodziły się żywe. Ich celem było żyć!! Przeżyło obóz zaledwie trzydzieści. Kilkaset dzieci wywieziono do Nakła w celu wynarodowienia, ponad 1500 zostało utopionych przez Schwester Klarę i Pfani, ponad 1000 dzieci zmarło na wskutek zimna i głodu (te przybliżone dane nie obejmują okresu do końca kwietnia 1943). Nie miałam dotychczas okazji przekazać Służbie Zdrowia swego raportu położnej z Oświęcimia.

Przekazuję go teraz w imieniu tych, którzy o swojej krzywdzie nie mogli powiedzieć światu, w imieniu matki i dziecka.

Jeżeli w mej ojczyźnie – mimo smutnego z czasów wojny doświadczenia – miałyby dojrzewać tendencje skierowane przeciw życiu, to wierzę w głos wszystkich wszystkich

położnych , wszystkich uczciwych matek i ojców, wszystkich uczciwych obywateli, w obronie życia i praw dziecka.

W obozie koncentracyjnym wszystkie dzieci – wbrew wszystkim przewidywaniom – rodziły się żywe, śliczne, tłusciutki. Natura przeciwstawiając się nienawiści, walczyła o swoje prawa uparcie, nieznanymi rezerwami żywotności. Natura jest nauczycielką położnej. Razem z nią walczy o życie i razem z nią propaguje najpiękniejszą rzecz na świecie – uśmiech dziecka.

Stanisława Leszczyńska”.

kolejna część relacji sługi bożej St. Leszczyńskiej w następnym numerze.

Dorota

